

Tylko 50 groszy kosztuje tuba **MARYDONT** pierwszorzędnej pasty do zębów Skutecznej w pielęgnowaniu zębów • przyjemnej w użyciu

W SZOPIENICACH

zaprenumerować „ABC” można w kiosku p. Jana Żydkę i kiosku „Ruchu” na dworcu kolejowym.

„EMBARRAS”

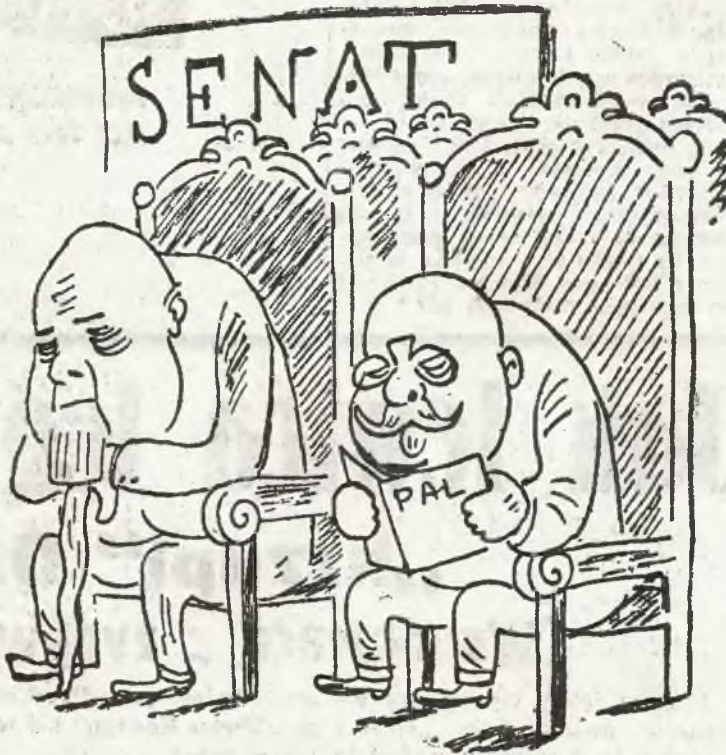
DZIŚ i każdą niedzielę oraz dni świąteczne **PODWIECZORKI taneczne** poczt. 5,30 i 8 i pół Wspaniały Program Artystyczny Mistrzowski Zespół Muzyczny **Konsumcja zł. 2. —**

Grzyby

Motto:

„Ospały i gnuśny
zgrzybiały ten świat”...

Sys. J. Zebrowski.



Prystor

„Grzyby marynowane”

Sieroszewski



Ks. Janusz Radziwiłł

„Grzyby w konserwie”



Gen. Sławoj - Składkowski

„Grzyby prawdziwe...”



Plk. Sławek

„Grzyby suszone”

Gen. Galica



B. Piasecki

Podgrzybki...

J. Rutkowski

JACEK BRZEZINA

45)

PERŁY I KARABINY

POWIEŚĆ

Nienapiętnowane fizyczną pracą ręce przesunęły się po czole Stanleya, wykonując jakieś dziwne ruchy. Niczym maczki polipa miękkie palce ujęły głowę śpiącego, przesunęły się po skroniach, czole, koło oczu... Minęło parę minut zupełnej ciszy. Stanley przestał mruczeć, poddając się uspokajającemu działaniu dziwnych fluidów, idących od tajemniczego przybysza.

Wreszcie rozległ się cichy, lecz dobitny, skandujący każdy słowo głos:

— Powiedz, gdzieś schował transport broni!

Było jasne, że nieznajomy usiłował za pomocą hipnozy wydostać potrzebną sobie tajemnicę.

Stanley skurczył się, jak gdyby chcąc uniknąć ciosu. Z napół otwartych ust wydobyły się jakieś jęki.

Hipnotyzer nadstawił uszu.

— Margaret... jesteś nareszcie... przyszłaś... Po co mnie męczysz... Nie pytaj...

Znów wolne ruchy rąk uspokoiły śpiącego, i znów spokojne, dobitne pytanie, raczej rozkaz, wżarł się w mózg Stanleya.

— Gdzieś ukrył broń?...

— Czemu pytasz? Zostaw mnie w spokoju... Nie chcę... nie mogę...

Hipnotyzer nie tracił cierpliwości. Wiedział, że w końcu wydobędzie to, czego mu potrzeba.

— ...rozkazuję ci... — urwał.

Na korytarzu rozległy się szybkie kroki. Ktoś biegł, wołając przytłumionym głosem:

— Mister doktor... mister doktor...

Może by i nic się nie zdarzyło, noc przeszła spokojnie, chory wyjął tajemnicę transportu — gdyby nie jakieś fatum, które kazało wzywającemu doktora Arabowi zajrzeć do separátky Stanleya Destroya. Woła ludzką kieruje czasem coś, nakazujące jej zrobić właśnie to, a nie co innego. Możliwe, że Arab wiedząc o chorym Europejczyku, przypuszczał, że właśnie u jego łóżka zastanie doktora, a może kismeth mu

to nakazał. Trudno się nad tym rozwodzić. Człowiek robi w życiu tyle rzeczy, których potem żałuje!... W tym wypadku Arab nie miał czasu na żal.

Otworzył drzwi separátky i stanął oko w oko ze znajdującym się w niej prócz Stanleya człowiekiem.

— O! Mister... — Arab nie dokończył. Wpadł niemal w ramiona nadbiegających ludzi.

Nieznajomy jednym susem znalazł się za oknem i znikł w ciemnościach nocy. Jedyłą pamiątką po nim był długi, arabski nóż, tkwiący po rękojeść w piersi Araba.



Rys. I. L.

Na odgłos krzyków, na dwóch końcach korytarza ukazały się dwie postacie. Doktor Baad i doktor Rypka.

Arab już nie żył. Pogoń za zabójcą, z powodu panujących ciemności, była bezsensowna.

Wyrwany nagle z głębokiego snu, Stanley ujrzał już tylko, jak z jego pokoju wynoszą jakąś bezwładną postać.

— Co tu się stało?

— Och, nic takiego... — mruknął doktor Baad, zacieraając z zadowolenia czy też zakłopotania ręce — Drobną wypadek! Może pan spać dalej spokojnie...

Piętego dnia przymusowej, szpitalnej diety nareszcie

dopuszczono do Stanleya pragnących go odwiedzić „kuweitczyków”.

Wtoczyła się więc pierwsza — mała, zakończona niczym makówką, łysa głowa, postać Wetmore'a.

— How do you do! — rozpostarł, niczym czuła kwoka, swe skrzydła-ręce nad wiercącym się niespokojnie w łóżku Stanleyem.

— Nie ma pan pojęcia, jak się cieszę, widząc go już zdrowszym, nabierającym siły i energii! Ubóstwiam po prostu ludzi silnych fizycznie i umysłowo. Może dlatego, że sam nie bardzo się udałem... chociaż, za młodych lat inaczej bywało...

Paplał jak katarzynka, nie dając choremu dojść do słowa.

— Niech pan lepiej nic nie mówi. To może zaszkodzić mu! Już ja wszystko opowiem, co tutaj słychać... Właściwie panuje spokój, ale wygląda to na ciszę przed burzą. Wie pan, jak to bywa na pustyni... Piaski śpią, pogoda cudowna, a nagle wałęsa chmurzyska, zrywa się trąba powietrzna i powstaje piekło. Tutaj w Kuweicie podobne prognozy dają się zauważyć. Coś wisi w powietrzu... Wiatru z pustyni już parę dni nie było, a ten, co nadejdzie, będzie gorszy od innych...

zobaczy pan. Skąd mnie nachodzą takie przypuszczenia? — Nachylił się nad łóżkiem i szeptał niemal w same ucho Stanleyowi: — Chcieli mnie ograbić!!! Kto? Naturalnie, że On i I!

W nocy, gdy myśleli, że śpią, przyszli... Jednego z nich postrzelili! Umarł tutaj w szpitalu, obok pana... Zaczynają atakować, ale nie uda im się to, jak jestem Wetmore... — Podniósł głos, lecz prawie natychmiast z powrotem począł mówić szeptem — Tylko o tym wszystkim są! Nikt, prócz pana, nie wie i nie będzie wiedział. Już ja sam się z nimi porachuję tak, by mnie przeklinali do końca dni swoich! Do pana mam zaufanie, bo jestem pewien, że pan do nich nie należy... Nikomu nic nie mówiłem, bo i na co to się przyda. I tak starego Wetmore'a nikt nie obroni. Każdy by mnie w żyłce wody utopił... — zachlipał ocierając rękawem suche zupełnie oczy.

Spojrzał na zegarek i zerwał się z łoża młodzieńczą energią.

— Czas na mnie. Muszę się śpieszyć na pogrzeb tego, którego postrzeliłem. Jestem ciekaw, kto tam będzie... Zresztą bardzo lubię te muzańskie ceremonie, a szczególnie wyście płaczkę nad mogiłą... Może jutro znowu wpadnę i przyniosę jakieś wiadomości. Szykuje się, szykuje!... lada chwila może wybuchnąć, niech tylko wiatr z pustyni powieje. Pokój czeka na pana i — zachichotał już od drzwi — doktor co wieczór spogląda w jego okna...

© c. n.)